

# Przegląd Wileński

TYGODNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY I LITERACKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 7000 mk.

1/2 „ — 3500 „  
1/4 „ — 1800 „  
1/8 „ — 1000 „

## Barjera czy most?

Traktat w Rapallo otrzeźwił nieco upojoną ławami triumfami i przemożną opieką Francji poważniejszą publicystykę polską. Ten i ów zamyślił się nad przyszłością. „Przegląd Wszechpolski“, „Drogi Polski“, „Wschód Polski“ zamieściły artykuły, poświęcone rozważaniom na temat obecnej bezprogramowości polskiej polityki państwowej. Jednomyślnie stwierdzono, że położenie Polski, wciśniętej między dwa kolosy — Niemcy i Rosję, jest niezmiernie trudne i niebezpieczne. Jednogłośnie również uznano, że Polska nie może być mostem, lecz musi być barjerą między temi mocarstwami. Gdy jedni wszakże z tego założenia wyciągają wniosek, że Polska ma być barjerą skierowaną głównie przeciw Niemcom, a opartą o Rosję, drudzy na odwrót sądzą, że należy wejść w porozumienie z Niemcami przeciwstawiając się Rosji, a jeszcze inni pragnęliby tę barjerę uniezależnić od obu potężnych sąsiadów, wzmacniając ją sojuszem z szeregiem narodów i państw Europy Środkowo-Wschodniej, w równej mierze zagrożonych przez imperjalizm rosyjski lub niemiecki.

Właściwie tylko ten ostatni program odpowiada ściśle pojęciu *barjery*. Orientacja zarówno filo-rosyjska jak filo-germańska są uwarunkowane w stosunku do jednej ze stron ustępstwami i kompromisami albo terytorjalnymi, albo ekonomicznymi, albo politycznymi, które tak lub inaczej podważają faktyczną niepodległość państwową.

Tembardziej, że o ustępstwach nikt nie myśli. Zwolennicy porozumienia polsko-rosyjskiego wyobrażają sobie możliwość jego przy utrzymaniu obecnej granicy, wykrojonej na mocy traktatu Ryskiego, który każdy bez wyjątku nacjonalista rosyjski uważa za także upokorzenie i krzywdę, jak swego czasu traktat Brzeski. Trudno o większą naiwność! Jeżeli zaś przyszła Rosja nie będzie nacjonalistyczną, co jest zresztą mało prawdopodobne, to będzie musiała

uwzględnić dążenia narodowe ukraińskie i białoruskie i również nie będzie mogła się pogodzić z obecnym podziałem Ukrainy i Białorusi. I w jednym i w drugim wypadku, a najpewniej ukrywając zęcnie swe apetyty imperjalistyczne pod płaszczykiem obrony interesów ludności białoruskiej i ukraińskiej przyszła Rosja, gdy tylko poczuje się na siłach, wystąpi ze swem historycznym hasłem: „zbierania ziem odwiecznie rosyjskich“. I jedynie za cenę cofnięcia swej granicy nad Bug (a może i nad San) Polska będzie mogła liczyć na dobre stosunki z Rosją.

Podobnież i porozumienie polsko-niemieckie jest nie do pomyslenia przy podziale Śląska i korytarzu Gdańskim. Innemi słowy oba programy powyższe są nierealne, o ile Polska dobrowolnie nie zrezygnuje ze swych nabytków na wschodzie lub na zachodzie.

A że żadnych tendencji w tym kierunku polska myśl polityczna nie zdradza, pozostaje tylko trzecie wyjście, które propaguje między innymi „Wschód Polski“, a mianowicie program oparcia przyszłości Polski na podstawie porozumienia i współdziałania z tymi, którzy są zainteresowani w utrzymaniu w Europie takiego stanu rzeczy, jaki jedynie może przyczynić się do zmniejszenia wspólnego niebezpieczeństwa rosyjskiego czy niemieckiego. W pierwszym rzędzie oczywiście — z Francją. Ale, jak słusznie podkreśla „Wschód Polski“, „trzeba się liczyć z faktem, iż sojusz polsko-francuski w tym tylko wypadku może mieć dla Francji poważne pozytywne znaczenie, o ile Polska reprezentować będzie coś więcej, niżeli tylko względnie słabe, wobec niezmiernych trudności swojego położenia geograficznego, państwo pomiędzy Niemcami i Rosją. W przeciwnym razie zawsze musielibyśmy lękać się chwili, w której Francji ponownie udałoby się odciągnąć Rosję od porozumienia z Niemcami, gdyż wówczas łatwo moglibyśmy nawet dla tego najwierniejszego z naszych dzisiejszych sojuszników utracić tę całą wartość, jaką dziś jeszcze mamy, jako naj-

pewniejszy w danej chwili strażnik wschodniej granicy państwa niemieckiego“.

W tym celu „Wschód Polski“ i inne pisma, hołdujące programowi utworzenia z Polski bezwzględnej *barjery*, zalecają zwrócenie baczonej uwagi na przebudowę wzajemnych stosunków pomiędzy państwami i narodami Europy Środkowo-Wschodniej.

Znów się więc powraca do idei Piłsudskiego, do programu federacyjnego — od Bałtyku po morze Czarne. Myśl nie nowa, chociaż uległa pewnym korektywom. Nie używa się już obecnie wyrazu „federacja“, lecz się mówi o „związaniu szeregu państw ogniwem zrozumienia wspólnoty interesów“ oraz uznaje bez zastrzeżeń „prawo każdego dojrzałego i osiadłego na własnej ziemi narodu do posiadania własnej, możliwie niezależnej państwowości“.

Otóż w tem sęk. Pojęcie „dojrzałości“ i „własnej ziemi“ są niezwykle subiektywne i rozciągle. Polska myśl polityczna pod tym względem wykazuje niezwykle zdolności kazuistyczne. Wileńszczyznę zabiera się Litwie na tej podstawie, że jest to ziemia polska (nawet odwiecznie!), a prawa swe do Galicji Wschodniej uzasadnia się tem, że naród ukraiński nie jest jeszcze dojrzały do własnej państwowości. Przy takiej interpretacji aspiracji niepodległościowych i państwowych swych najbliższych sąsiadów (włączając w to Białoruś) o jakimś porozumieniu z nimi i doszukiwaniu się wspólnych interesów oczywiście mowy być nie może.

Pozostają tylko dalsi: Łotwa, Estonja, Finlandja, Rumunja, Jugosławja, może Czecho-Słowacja. Z temi państwami i obecne poczynania dyplomatyczne Polski usiłują wynaleźć trwały grunt dla porozumienia, ale jak dotąd bez skutku. Po części dlatego, że in-

teresy tak licznej gromady państw nie zawsze się dadzą uzgodnić, a nieraz nawet pozostają ze sobą w sprzeczności, po części zaś właśnie dlatego, że w łańcuchu od Bałtyku do Morza Czarnego Litwa, Białoruś i Ukraina stanowią dotkliwą lukę, a stanowić ją muszą dotąd, dopóki Polska nie zmieni względem nich swej polityki nacjonalistycznej.

A że na taką zmianę wcale się nie zanosi, więc też Litwa nie kwapi się bynajmniej do odegrania roli podpórki przy polskiej barjerze. I jaki zresztą miałaby w tem interes? Niezwykle obrazowo to kiedyś wyłożył Oszmiańczuk w „Gazecie Krajowej“.

Ubolewając nad rolą klina białego między Rosją i Niemcy, na którą skazaną jest Polska, znany publicysta polski wołał: „Dlaczegoż i Litwa ma dzielić tę ciernistą misję? Może ona odegrać z powodzeniem inną rolę... Dlaczegożby nasz kraj nie miał być *mostem* między Rosją a jeżeli nie „resztą“ Europy, to chociażby z Niemcami? Podczas, gdy klin nieszczęsnej Polski wił by się w kleszczach rosyjsko-niemieckich, nie zdolny, co nie daj Boże, wytrzymać potężnego z obu stron nacisku, szedł by przez most naszego kraju olbrzymi ruch ekonomiczno-finansowy z zachodu na wschód i vice versa rzucając na most gruby osad — złoty. Nie stać nas na zbytek grania wszechświatowej roli barjery, oddzielającej Rosję od Niemiec. Wolimy być szerokim traktem handlowym, łączącym ogromne centra wytwórczości z ogromnymi rynkami zbytu, traktem, przy którym zakwitło by niesłychanie rolnictwo nasze i poszłyby również niesłychanie w cenę przyrodzone bogactwa naszego kraju“...

Jeżeli tak myślał i pisał publicysta polski, to tembardziej muszą tak myśleć i działać politycy li-

J. B-nas.

## Smutna opowieść.

4) (Tłumaczenie z litewskiego).

Przyszła smutna, nieszczęśliwa jesień. Wiedły liście drzew, a z nimi razem i piękne marzenia biedaków. Powiał ostry wiatr zimowy i wraz z liśćmi rozwiął najgorętsze ludzkie nadzieje, — rozwiął wolność, którą wrogowie nogami w błoto wdeptali. Znikł ostatni cień szczęścia, rozwiął się, jak dym w powietrzu. Straszna mara zaćmiła nad całym krajem jasność nieba skrzydłami swemi, zapuszczając ostre szpony głęboko w piersi ludzkie. Palono wsie, rozstrzelowano i wieszano ludzi, lub też gnano ich z ojczyzny na północ daleką. Nie doznawali miłosierdzia, ani siwy starzec, ani chora niewiasta, ani też niewinne małe dziecię. Cały kraj stał się więzieniem. Nikt nie był pewny jutra, idąc z wieczora do spoczynku, nie wiedział, czy wstanie jutro wolny. Powstał płacz i narzekanie. Wszyscy kładli głowy pod topór kata. Mała tylko garstka powstańców walczyła mężnie z najeźdźcami, czekając końca...

Józefata zmieniła się bardzo. Nie była to już owa piękna kobieta, której gwiazdziste oczy cieszyły męża niedawno. Gwiazdy zgasły, twarz zczerniała.

Ani szczęścia, ani nadziei nie było. Jak cień ślaniała się po domu bez celu. O cóż się troszczyć? Zabrano jej skarb najdroższy, bez nadziei powrotu. Wieści dochodziły coraz smutniejsze: ten powieszony, ów zesłany... Miejsca sobie znaleźć nie mogła. Bała się wyjść ze wsi i bała się zostać sama w chacie. Wieczory spędzała u Damulisa, gdzie jej spokojniej było. Stary Damulis nie wytrzymał pobicia... umarł z ran w kilka tygodni. Zostały same kobiety: nieszczęście związało z niemi Józefatę...

Pewnego wieczora, gdy wszystkie tak siedziały, otworzyły się drzwi chaty i weszło do izby dziwne stworzenie — zbiedzone i obdarte. Głuchym głosem pochwalił Chrystusa i upadł do nóg starej Damulisowej.

— Kaziol.. zawołała kobieta, poznając syna.

Objęła głowę jego, cisnąc do swej piersi.

— Boże, Boże... żyw jeszcze!.. jęczała, jakby wąpiąc.

To głąskała spracowanemi rękami włosy jego, to patrzyła mu w oczy!..

— A gdzie Antoni?!.. spytała z obawą.

Milczał. Ciężko było powiedzieć prawdę, która przebiję serce matki.

— Zabity... wyszeptał wreszcie.

I zaczął opowiadać, jak to było. Głodni i odarci, walczyli niedaleko z Moskalami; nagle ujrzał brata,

tewscy. I dlatego Polska w swych projektach wznoszenia barjery rozległej pomiędzy Rosją a Niemcami z góry musi wykluczyć Litwę, a tem samem upada koncepcja zwartego pierścienia państw i narodów od Bałtyku aż po morze Czarne, ba, nawet aż po Adriatyk, jak niektórzy o tem marzą.

## U kolebki mesjanizmu białoruskiego.

Mesjanizm dziś może być już uważany za integralną część ideologii każdego narodu, mogącego wespół z innymi pracować nad postępem cywilizacji. Żaden z narodów nie chciałby być jedynie robotnikiem przy tem wielkiem dziele, wypełniając tylko cudze pomysły i plany, natomiast każdy pragnie też włożyć doń część własnej duszy: swe odrębności, swe nadzieje, swe ideały... Tu zbiegają się zupełnie — dobro i interes ludzkości i narodu. Czasem narody zaprzeczają, jakoby posiadały własny mesjanizm, przy bliższem atoli poznaniu ich wszędzie znajdziemy choć kilka jego pierwiastków składowych. Praktyka najzupełniej potwierdza powyższe uwagi teoretyczne.

Świeżo № 2—3 *Sztomiesiacznika Białoruskaho Studenctwa*, organu białoruskiej młodzieży akademickiej w Wilnie, przynosi znamieny artykuł S. Radzimicza (pseudonim) p. t. *Ab naszym mesjanizmie*. Zagadnienie *dwóch dusz* w odrodzonym piśmiennictwie białoruskiem pierwszy poruszył najlepszy dziś prozaik białoruski, Maksym Harecki w powieści „Dwie duszy“, wydanej w Wilnie r 1920. Jako przedmiot dyskusji, było ono bardzo często omawiane już od początku ruchu białoruskiego. Ostrość zagadnienia łatwo każdemu rzuca się w oczy. Naród,

który dzieli się na dwa tak nierówne (1:3) odłamy wyznaniowe i, co za tem idzie, dwie sfery biegunowo przeciwnych wpływów kulturalnych, musiał, w osobie swych świadomych a inteligentnych przedstawicieli, rychło uprzytomnić całą doniosłość tego faktu, mającego olbrzymie dla przyszłości narodu znaczenie.

Ale nie samo istnienie jego chcemy tu podkreślić, bo o wiele ciekawszą ta różnica w jego ocenie, jaka dokonana się na naszych oczach. Do tego czasu utarło się w kołach białoruskich rozdwojenie narodu na mniejszość katolicką (pod wpływami łacińskimi, resp. polskimi) i znaczną większość prawosławną (pod wpływami bizantyjskimi, resp. rosyjskimi) uważać jeśli nie za nieszczęście dla bytu i rozwoju narodu, to w każdym razie za duży *minus*, za przeszkodę i groźbę dla niego. Jednych uprzytomnienie tego faktu, stworzonego przez same dzieje narodu, przekonało do Unji kościołów, któraby pożądaną jedność co rychlej zaprowadziła w narodzie białoruskim, drugich znowu też okoliczność popychała do — bezwyznaniowości, byle udało się tylko jakiś most przerzucić nad przepaścią. Tak było dotychczas.

Obecnie p. S. Radzimicz daje zgola inne oświecenie faktu *dwóch dusz*. Według niego był on nader szkodliwym, póki nie istniała wcale świadomość odrębności narodowej, a sprawa religii była wszyskiem, służąc jednocześnie za określenie narodowości. „Ale dziś, gdy ta świadomość staje się coraz większą, kiedy bodaj nie każdy dzień pomnaża liczbę nowych szermierzy za sprawę ojczystą, ta strona ujemna przeradza się na dobre. Tworzy się synteza wschodu z zachodem, dotychczas wprawdzie całkiem nieświadomie, ale się tworzy. Naród roztwierając oczy nie łączy się z żadną z dwóch stron, lecz staje się samym sobą“. (Str. 5).

Ten białoruski mesjanizm, wypływający z zupełnie realnych i racjonalnych przesłanek, o ile dosyć znajdzie szczerych wyznawców, może rokować piękne nadzieje na przyszłość.

Ad. Sołoduch.

upadającego na ziemię bez życia i Banisa, którego wzięli Rosjanie... A właśnie wszyscy trzej chcieli pójść do swej wsi. Niedoczekali...

Słyszac straszną nowinę, Józefata chwyciła się za serce i jękała z wielkiej boleści. Kazimierz teraz dopiero ją spostrzegł, bladą, jak płótno.

— Gdzie Piotr? Gdzie?... Co z nim zrobią? — jęczała wlepiwszy straszny wzrok w Kazimierza.

Nie chciała uwierzyć...

Opowiedział, co mu było wiadomem. Józefata zrozumiała tyle, że Rosjanie powieźli pewnie jej Piotra do miasta. Nie słuchała już dalej Kazimierza, który narzekał, że ani dnia jednego nie będzie mógł zostać w domu, ani w kraju, jeśli nie chce zostać powieszonym, lub rozstrzelanym. Wyszła z jękiem od Damulisów.

Chociaż nigdy nie była w mieście, jednak dobrze przed świtem szła już gościńcem, wiodącym do miasta. Droga była prosta, znana... Trzy mile odległości. Można znaleźć bez pytania...

Przed południem szła już ulicami miasta, oglądając się trwożnie dokoła. Duże, kilkopiętrowe domy ciągnęły się z obu stron bez końca; szerokie, równe, jak stół ulice, piękniejsze jedna od drugiej... Lecz nie podziwiała ich Józefata, choć kiedyindziej, wszystkie te, niewidziane nigdy rzeczy, cudem by się jej wydały. Na ludzi tylko patrzyła, których pełno było

na każdym kroku. Jakby prawdę i pomoc dać je mogli. Zdało się jej, iż wszyscy o Piotrze jej wiedzą i uwolnić mogą.

Chciało się zapytać ich, poprosić. Nie śmiała... Byli to wszystko tacy potężni panowie. Może spytają sami, po co do miasta przyszła taka nieszczęśliwa... Lecz nikt nie patrzył na nią; każdy był zajęty własnymi sprawami. Oto przeszły trzy panie, piękne, jak obrazki. Nie spostrzegły wieśniaczki, choć patrzyła na nich tak żalosnymi oczyma...

— Boże, ile panów... jacy piękni! — dziwiła się Józefata, nie wiedząc, dokąd iść dalej.

— Czego tu oglądasz się? czyś co zgubiła? — spytał obdarty „pan“, widać, stróż domu.

Józefata drgnęła, lecz wkrótce spytała nieśmiało: — czy nie wiesz pan, gdzie mój Piotrusz?..

— Piotrusz?!.. Czy to twój mąż?

— Mąż, mąż! — ucieszyła się Józefata.

— Pewnie jaki buntownik?! — uśmiechnął się stróż złośliwie: — idź tam — znajdziesz...

Machnął ręką, Józefata chciała go o coś jeszcze zapytać.

— Idź, idź! tu stać nie wolno... zabroniono! — krzyknął na nią.

Szła ulicą wystraszona, ze spuszczoną głową. Widziała dużo ludzi, śpieszących w tę stronę. Zdało się, iż wszyscy chcą coś ujrzeć i boją się spó-

## Ludność ukraińska w Grodzieńszczyźnie.

Dziwnie mało zajmowano się losem Rusinów, zamieszkałych na południu b. gub. Grodzieńskiej, stąd i literatura tego przedmiotu jest bardzo uboga. Pobieżny szkic niniejszy ma na celu jedynie przypomnienie tej zaniedbanej kwestji.

Granica etnograficzna obszaru ukraińskiego, przecinając pod miasteczkiem Mielnikiem (pow. Bielski) Bug Zachodni, wkracza do Grodzieńszczyzny, gdzie od rz. Narwi skierowuje się znowu do błot Polesia i wstępuje tu na teren Mińszczyzny. Zakreślony linią powyższą, kawał b. gub. Grodzieńskiej, obejmuje część pow. Bielskiego, cały Brzeski i Kobryński (skrawki Prużańskiego i Słonimskiego) Mieszka tu 440000 ukraińców, stanowiąc 23% ludności Grodzieńszczyzny (Heinrich Laus. *Ukraina*. Berlin 1918. str. 10). Nie spotkaliśmy, by w literaturze polskiej próbowano określić tu, choć w przybliżeniu, liczbę Ukraińców, których istnienia w Grodzieńskim nikt nie zaprzecza. Tak Edward Maliszewski w *Przewodniku po Gubernji Grodzieńskiej* (Zarys statyczno-opisowy. Warszawa 1910) oszacowuje ilość w niej ludności ukraińskiej, łącznie z litewską, niemiecką i tatarską, na 26% ogółu. Wobec tego, że odsetek podających się za Litwinów, Niemców i Tatarów w Grodzieńszczyźnie mało chyba przewyższa 3%, źródło polskie liczbę Ukraińców grodzieńskich określa również w przybliżeniu 23%. Stosownie do składu swej ludności, południowe powiaty b. gub. Grodzieńskiej (Kobryński, Brzeski, część Bielskiego) noszą charakter ukraiński (E. F. Orłowski. *Uczebnoje opisanje Grodzieńskiej gubernji*. Grodna 1902. str. 17). Znajdziemy je także na mapach Ukrainy (wydanych nawet bez enklaw), jak to można widzieć na mapce, załączonej do niezwykle bogatego w materiał rzeczowy i statystyczny dziełka O. Kesslera p. t. *Die Ukraine*. Beiträge zur Geschichte, Kultur und Volkswirtschaft. München 1916.

Tak znaczna ilość Ukraińców w Grodzieńszczyźnie niejednemu wyda się dziwną, bo z tym etnicznym pierwiastkiem przywykliśmy bardziej się liczyć w Mińszczyźnie gdzie jednak ludność ukraińska stanowi 330000 osób (14%).

Bynajmniej nie osłabia faktu istnienia żywiołu ukraińskiego na ziemiach, tak blizkich Wilna, to, że na pograniczu z Białorusinami, Wielkorusami, Polakami mowa ukraińska zdradza pewne odrębności, posiada domieszkę słów obcych i t. d., słowem nie występuje w formie tak czystej, jak w Połtawszczyźnie lub pod Buczaczem.

Nieocenionej wprost wartości dla poznania północnej części ziem ukraińskich jest pracowite studjum Ludwika Czarkowskiego p. t. „*Powiat Bielski*”. Zarys ludoznawczy (Tom 1. Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. 1907). Na załączonej do tej pracy mapce najdokładniej jest wytknięta granica rozsiedlenia w Bielszczyźnie ludności ukraińskiej i polskiej. Według zacytowanego dzieła (str. 65) liczba Ukraińców w pow. Bielskim wynosi 57782, czyli 40,6%. W r. 1897 ta liczba urasta do 67149 os. (str. 67). Jeżeli znowu liczba Ukraińców mniejszą się okazuje w porównaniu z takąż prawosławnych, to ową różnicę należy tłumaczyć, że w pow. Bielskim są też miejscowości, gdzie mieszka lud białoruski, wyznania prawosławnego.

W przeszłości musiało być żywiołu ukraińskiego (i białoruskiego) w Bielszczyźnie dużo więcej, skoro np. taki Drohiczyn wymieniany był ongi obok Chełma i Halicza! (str. 60). Jeszcze teraz nawet tam, gdzie w pow. Bielskim mieszkają Mazurzy, można znaleźć wsie o nazwie ruskiego brzmienia (np. Kruhle, Hawryłki i in.). We wschodniej i południowej części Bielszczyzny występują już wyraźnie tak charakterystyczne dla języka ukraińskiego cechy, jak *czo, szo i szczo*, końcówki czasowników na *ity* lub *yty, ti* lub *ty*, nazwiska na *uk*, a nawet na *o* i *enko*...

Oczywista rzecz, że nie mniej dałoby się zebrać takiego materiału w powiatach Erzeskim i Kobryńskim, gdzie nazwy rzeczy (rzek, gór, wsi, miasteczek..)

znić. Pośpieszyła i ona... Wkrótce skończyła się ulica. Ukazał się wielki plac. Józefata ujrzała na nim mnóstwo ludzi, stojących wokoło. Żołnierze z karabinami i błyszczącymi pikami, panowie w czapkach z gwiazdkami, pięknie postrojone panie, i... ludu, ludu bez końca... Wszyscy milczeli, jak martwi... W środku sterczały wysokie drewna z krzyżowaniem...

Stała, zdziwiona, nie wiedząc, co począć. Lecz widząc, że wszyscy tam idą, zbliżyła się do tłumu. Podcięło jej nogi, zaledwie mogła oddychać...

Ile panów... jacy piękni... — szeptała.

Jakiś siwy staruszek, o miłej twarzy, patrzył na nią; spytała go trwożnie: — czy nie wiesz pan, gdzie mój Piotruś?..

W tem spójrzała na drewno z krzyżowaniem...

Krzyknęła strasznym głosem i upadła na ziemię zemdlona...

Ocknęła się po ciężkiej chorobie... Nie mogła zrozumieć, gdzie się znajduje. Leżała w jakimś pokoiku, widziała niezajomych ludzi. Niemłoda, biało ubrana kobieta, pochylona nad nią, mówiła coś przyjaźnie. Nie rozumiała... Nie mogła zebrać rozproszonych myśli. Jak przez sen przypominała drogę do miasta, błądzenie po ulicach... Lecz co dalej?.. Dym okrył wszystko. Przyczyna nie wiązała się w jej mózgu ze skutkiem. Obrazy przeszłości rozsypywały

się, jak piękne kwiaty: widziała oddzielne listki, nie samą roślinę. Terazniejszości nie rozumiała... Czuła tylko nadzwyczajne osłabienie: bolały żyły, nogi ciężkie, jak kamienie, nie mogła się poruszyć...

Patrzała szeroko otwartymi oczami bez wyrazu...

Raz tylko błysnął w tych oczach promyk. Jakby na jakieś wspomnienie, usta drzeć poczęły...

Ujrzała biało ubraną kobietę, patrzącą na nią przyjaźnie.

— Czy nie wiesz pani, gdzie mój Piotruś? — wyszeptała cicho, wlepiając w nią oczy.

Chciała poruszyć się, lecz tylko jęknęła z bólu...

Wyzdrowiało ciało, ale nie duch. Rozum się pomieszał... Nie odczuwała już swego strasznego położenia tak, jak odczuwa człowiek zdrowy. Gdy jej opowiadano, iż urodziła nieżywe dziecko i przez kilka miesięcy leżała na pościeli — nie zmartwiła się, nie mrugnęła okiem; na twarzy jej nie odbił się najlżejszy znak smutku, czy przestrochu. Gdy władze dowiedziały się o niej i wsadziły ją do więzienia — nie sprzeciwiała się i nie płakała. Jęczała tylko, jak męczona zwierzę, gdy ją bito i ciało jej w rozmaity sposób katowano... Nie poznała Damulisowej, ani jej córek, wrzuconych również do więzienia; nie rozumiała krzyku ich i narzekania, gdy znikły za drzwiami więzienia, żegnając Ojczyznę na wieki...

i nazwiska osób (przeważnie ludowe) są formacji wybitnie ukraińskiej, brak jednak dotychczas monografii odpowiednich, gdzieby ten materiał był ujęty, zestawiony i opracowany.

Powyższe dane usprawiedliwiają w zupełności żądania Ukraińców uwzględnienia i zaspokojenia potrzeb kulturalnych (szkolnictwo własne) i religijnych (nabożeństwo dodatkowe tak w cerkwi jak w kościele w mowie ludu)... Nie byłaby to łaska, lecz zwykły nakaz sprawiedliwości społecznej.

Wat.

## Obrona mniejszości narodowych.

W „Naszym Kurjerze“ naczelny publicysta tego organu, piszący pod pseudonimem Politicus, omawia przebieg zjazdu Przyjaciół Ligi Narodów w Pradze, nie szczędząc przytem ostrych i niewątpliwie słusznych uwag pod adresem zarówno delegatów polskich, hołdujących zasadom ciasnego nacjonalizmu, jak zresztą samej Ligi Narodów.

Polityka strusia — czytamy — stanowiąca u nas szczyt mądrości stanu, sprawia, że o rzeczach nieprzyjemnych dla rozpanoszonego szowinizmu wcale się nie mówi, ludząc się, że w ten sposób przestaną one istnieć. Nic dziwnego, że system przemilczania zastosowany został do Kongresu Stowarzyszeń Ligi Narodów, odbytego w Pradze Czeskiej w dniach od 3 do 7 bm., jakkolwiek uczestniczyła w nim także dość spora delegacja polska, z ex-ministrem prof. Dembińskim na czele.

O tem, że mniejszości narodowe potrzebują opieki i że Polska sama korzysta z niej tam, gdzie jest to jej na rękę, niechętnie się u nas mówi, bo sama idea ochrony mniejszości powinna uchodzić za „wynalazek żydowski“. Jakże więc o tem pisać? Jakże przytem się przyznać, że właśnie narodowość

żydowska nie była na zjeździe reprezentowana przez własnych delegatów, ani nawet nie uprosiła nikogo o orędownictwo, pomimo, że obrońców z pewnością nie zabrakłoby?

Ten strach przed kompromitacją na arenie światowej jest w danym razie mocno przesadzony. Liga Narodów jest tymczasem organizacją silnych i niedolą słabych mało się wzrusza. Uprawia ona politykę „równowagi“ która polega na podziale świata na zwycięzców i pokonanych. Również t. zw. przyjaciele Ligi Narodów nie wybiegają zbyt daleko za ten program i stanowią na razie tylko reprezentację państw. Kto tedy chce, ażeby jego prawa były bronię, musi przedewszystkiem posiadać własne państwo, choć przecież jasnym jest, że najgorętszej obrony potrzebują te mniejszości, które nie mają własnego państwa, nie mogą stosować względem ciemniejszych środków odwetowych.

Od kongresu przestrzegającego tak błędnej zasady trudno się było spodziewać czegoś dodatniego w kierunku obrony najbardziej uciskanych i poniewieranych. A jednak sprawa obrony mniejszości posunęła się o pewien krok naprzód. Pojawiała się mianowicie rezolucja p. Dickinsona, żądająca gwarancji międzynarodowych dla obrony mniejszości przed prawami wyjątkowymi, jak również ścisłej kontroli Ligi Narodów nad wykonaniem postanowień traktatowych o mniejszościach. Rezolucja ta otrzymała większość głosów, lecz na skutek protestu Małej Ententy, przewodniczący uciekł się do fortelu, ażeby nie uważać tej uchwały za formalnie przyjętą. Oczywiście, że nie chodzi na razie o wartość pozytywną tej uchwały, bo dopóki Liga Narodów jest stowarzyszeniem mocarstw imperialistycznych, trudno liczyć na zrealizowanie tego pobożnego życzenia. Jest jednak charakterystycznym, że nawet w tem gronie reakcyjnym dojrzeła już myśl o konieczności skutecznej opieki nad mniejszościami.

Idea reprezentacji narodów, zamiast państw również posunęła się nieco naprzód na zjeździe praskim. Stało się to w sposób następujący. O przy-

Wypuściła ją władza, jako obłąkaną, a zatem nieszkodliwą. Nie opłacało się wywozić jej z kraju: taka nie zrozumie kary, nie odczuje okropności wygnania... Kazano ją pognać do wsi rodzinnej...

Lecz na ziemi Józefaty siedział już Moskał. Została żebraczką-komornicą. Marzenia o szczęśliwym pożytku z mężem, o dzieciach i sadzie znikły, jak sen. Szczęściem — nie czuła tego; choć ciało cierpiało, rozum i uczucia spały w ciemności...

Od tego czasu żywili ją dobrzy ludzie. Co tydzień, prowadziła ją dziewczynka od chaty do chaty, gdzie zbierała do woreczka tygodniowe pożywienie. Niekiedy, w chwilach jaśniejszych, chodziła po wiosce sama. Sąsiedzi pamiętali o niej. Gdy kto sprawił wesele, lub chrzciny — gospodyni kładła do zawiątku pieroga, mięsa, albo twarogu z masłem i zawoławszy małą córeczkę, kazała: — biegnij, zanieś to Józefacie. W święta uroczyste, jak na Wielkanoc — znowu matki posyłały swe dzieci z bułką, lub parą jaj farbowanych do Józefaty. Kobiety obdarzały ją także odzieniem i bielizną... Cała wieś przywykła patrzeć na nią, jak na swoją. Ujrzawszy ją, przychodzącą z woreczkiem, mówiono: — nasza Józefata przychodzi... Tak żyła wśród sąsiadów...

Minęło lat dziesięć... Ludzie rośli i cieszyli się, a starzy umierali. Nie jedna równolatka Józefaty,

doczekawszy się dzieci i wnuków, świat ten opuściła i w zimnej ziemi spała snem wiecznym. A ona wciąż żyła. Została wśród młodych sama, jak suchy pień wśród zielonego lasu... Nowe pokolenie nie kochało już Józefaty tak, jak ojcowie, rzadziej o niej pamiętało. Często głód cierpiała, nie było w co się odziać. Chodziła w łachmanach. Nie cierpieli jej ci, u których na komornem mieszkała: mniej żywności przynieść im mogła. Skurczona siedziała zimą za piecem. Latem tylko, czuła się nieco lepiej: rzadziej płacząc się ludziom pod nogami, mniej też była przez nich łajaną. Chodziła wtedy po polach bez żadnego dozoru... Błąkała się nad rzeką i po lesie, gdzie dużo panów w letniskach przebywało. Szła straszna i nieszczęśliwa, w łachmanach na wychudłem ciele; szła jęcząc, oparta na lasce, wlokąc ciężkie łą brzemie. Przynosiła wszystkim smutek i dziwny niepokój serca...

Widząc pięknie ubranych i szczęśliwych, dziwiła się, jakby chcąc coś przypomnieć i posiniałemi wargami szeptała: — ilu panów... jacy piękni...

Lub też, wlepiając w kogokolwiek straszne swe, bez życia oczy, pytała: — czy nie wiecie, gdzie mój Piotruś?..

Czy rozumiała to pytanie sama? Czy pamiętała jeszcze o swym Piotrusiu nieszczęśliwym? Czy miała nadzieję ujrzeć go, chociaż po śmierci?..

Jeden Pan Bóg wie...

jęcie do unji międzynarodowej ubiegało się „stowarzyszenie przyjaciół Ligi z Zachodniej Ukrainy“, czyli Galicji Wschodniej. Delegaci polscy ignorując przysłowie polskie „zapomniał wół jak cieleciem był“ wywodzili, że w unji reprezentowane winny być tylko kraje, co oznacza państwa a ponieważ Galicja Wschodnia należy do państwa polskiego, więc stowarzyszenie ukraińskie nie może być przyjęte. Jestto argumentacja żywcem zapożyczona od czarnosecińców i hakatystów, którzy tak niedawno stosowali ją do Polaków. Jestto nadto polityka najbardziej krótkowidząca, jaką można było wymyśleć. Na razie jednak wywody te w jednej komisji poskutkowały o tyle, że sprawa została odroczone.

Było to jednak zwycięstwo pyrrusowe. Sprawa wschodnio-galicyska wyłoniła się w innej komisji w formie o wiele ostrzejszej. Gdyby zaślepiący, działający w imieniu Polski dopuścili Ukraińców, ci ostatni byłiby tylko reprezentantami narodowości, których Polska bez szkody dla swych interesów może posiadać mnóstwo, skoro zaś delegaci polscy postawili tę sprawę na gruncie kraju i państwa, sprawa dopiero na dobrą się zaogniła naprawdę ku szkodzie interesów polskich. Delegaci ukraińscy oświadczyli, że Polska Galicję Wschodnią zagarnęła i że traktaty z Saint Germain i Sevres nie uznają wcale tego kraju za część składową państwa polskiego. Wywoławszy wilka z lasu, delegaci polscy jeli brnąć w rozumowaniach merytorycznych, wywodząc, że gdyby Polska nie zajęła Galicji Wschodniej, ta ostatnia wpadłaby w ręce bolszewików. Czy może być argument bardziej niedołyżny? Po pierwsze, bolszewicy wszak nie będą istnieli wiecznie, po wtóre sprawę wschodnio-galicyską zamierza się rozwiązać za pomocą mandatu któregośkolwiek z państw Ententy, a zatem argument „bolszewicki“ staje się nonsensem. Rezultat tej mądrej obrony okazał się fatalny. Przyjęto rezolucję, wyrażającą ubolewanie Kongresu, że położenie prawne Galicji Wschodniej nie jest jeszcze uregulowane oraz biorąc pod uwagę, że obecny stan tej ziemi nastęrcza poważne trudności, życzenie, aby stan prawny Galicji Wschodniej był w najkrótszym czasie uregulowany. Do rezolucji tej przyłączyli się także delegaci polscy. Oto co znaczy wpaść z deszczu pod rynnę.

Nie dość na tem. Z chwilą, gdy z winy delegacji polskiej ze sprawy narodowości rusińskiej uczyniono sprawę wschodnio-galicyską, delegacja angielska zaproponowała taką dodatkową rezolucję: „Komisja jest zdania, że ponieważ Ententa i Liga Narodów uznały, że Galicja Wschodnia jest sprawą odrębną, należy Galicję Wschodnią uznać za oddzielny kraj.“ Delegaci polscy naturalnie oponowali, ale opozycja ich była całkiem nielogiczna, bo rezolucja zawierała tylko stwierdzenie niezaprzeczonego faktu międzynarodowego. Istotnie zostali tylko przv własnym głosem. Olbrzymią większością głosów 15 przeciw 1 (polskiemu), a zatem głosami także francuskimi i belgijskimi rezolucja została przyjęta. Za ledwie trzech delegatów (zapewne Małej Ententy) z grzeszności powstrzymało się od głosowania.

Prof. Dembiński w wywiadzie dziennikarskim melancholijnie zauważa, że nastrój był taki, jakgdyby się rozchodziło o obronę uciśnionych przed ujarzmicielami. A kto ten nastrój wytworzył—ośmielamy się zapytać—jeżeli nie sami delegaci polscy, którzy się obawiali, jak ognia dopuszczenia Ukraińców, przed tak mało surowe forum, jak zjazd ludzi, którzy sami mają niejedną grzech na sumieniu? Kto drży przed

sądem opinii publicznej, ten sam siebie najgroźniej oskarża. Niesłusznie tedy „Kurjer Poranny“ rości pretensje z tego powodu do delegacji francuskiej i belgijskiej. Kto sam lekkomyślnie włązi w błoto, tego najserdeczniejszy przyjaciel nie wyciągnie. Czy na przykład delegacja belgijska niedopuszciliby ze względów formalnych przedstawiciele Flamandów czy Walonów? Naodwrot! Rozumiejąc, że skarga niezadowolonej mniejszości przed światem nie przynosi zaszczytu państwu, Belgja uprawia wzgl. obu narodowości taką politykę, która wyjazd ich delegatów czyni zbędnym.

Epilog tej sprawy był już humorystyczny. Po tem, gdy uznano Galicję Wschodnią za kraj osobny, znowu ubiegano się o przyjęcie delegatów zachodnio-ukraińskich do Unji. Tu na widownię wystąpił dr. Polak i wysunął kruczek godny pokątnego doradcy z samej Kiernozi. Zaproponował on aby stowarzyszenie ukraińskie zwróciło się o legalizację do... rządu polskiego. Fortel ten się udał. Cóż jednak będzie dalej? Czy naiwny delegat mniema, iż na najbliższym kongresie, wykreśli się tem, że legalizacja jeszcze nie nastąpiła, bo jeszcze nie zdążono zasięgnąć informacji o prawomyślności petentów? Oto w jak zabawny sposób niepowołani obrońcy usiłują pakować pręty w szprychy koła dziejowego.

Mniejszość niemiecka znalazła obrońcę w osobie bylego ambasadora Rzeszy d-ra Bernsdorfa, przyczem delegacja polska usłyszała zarzuty, których również można było sobie oszczędzić, gdyby wzięto pod uwagę niejednokrotne ostrzeżenia lewicy polskiej przed zgubnością metody Lutosławskich.

Mniejszość żydowska, jak się rzekło, reprezentowana nie była, gdyż żydzi polscy chcą uczynić wszystko od siebie zależne, ażeby sprawę swęj merytorycznie na forum międzynarodowe nie wynosić. Ta powściągliwość żydowska podobno sprawiła w polskich kołach rządowych wrażenie nader korzystne. Zobaczymy jednak, jakie ta polityka ugodowa pociągnie za sobą czyny i czy istotnie na przyszłych zjazdach delegacja polska będzie się mogła powołać na nieobecność żydów, jako na wymowny dowód, że najlepiej wychodzi ta mniejszość, która porozumiewa się bezpośrednio.

Pomimo chwiejności, jaką ujawnił Zjazd przy obronie najbardziej upośledzonych i pomimo jego wyraźnych ukłonów wobec siły sam fakt, że stworzona została trybuna międzynarodowa, z której co pewien czas rozlegać się może głos uciskanych, uważać można go za postęp w kierunku współżycia ludów. Sprawa ludzkiego traktowania mniejszości jest nieodłączną kwestją pokoju. Nawet obecny krychł pokojowy spoczywa na szeregu traktatów, z których niemal każdy zawiera klauzulę mniejszościową. Jeżeli klauzula ta, przewidująca oddanie mniejszości pod opiekę Ligi Narodów ma być brana na serjo, to opieka ta nie może być fikcją. Inaczej traktaty stają się świstkami papieru dla samych tych, którzy je redagowali i dyktowali, t. j. dla zwycięzców. A jeśli drwią z traktatów zwycięzcy, którym traktaty zapewniają rozmaite przywileje, to czegoż żądać od pokonanych, na których traktaty nakładają ciężkie obowiązki? Z tych i z wielu innych względów sprawa mniejszości, to sprawa pokoju.

# Trjumwirat.

(Notatka historyczna).

(Dokończenie).

Dwadzieścia (1863—1883) lat w djecezji wileńskiej trwała rozkładowa robota trjumwiratu, którego dzieje pokrótce opowiedzieliśmy. Mająca dalszą przyczynę w prądach józefinistycznych, bliższą miała ona niezawodnie w tej depresji, jaką przeżywała Litwa, zwłaszcza Wilno, po krwawem stłumieniu powstania styczniowego. Murawjewowskie *razpłastat' Litwu* pochnęło znaczną część dygnitarzy djecezalnych w Wilnie do szukania kompromisu z rządem, chociażby kosztem rusefikacji życia kościelnego. Trudniej już określić, czy u wszystkich i w jakiej mierze istniały przymtem tendencje schizmatyckie, ale że były i one, nie da się zaprzeczyć. Rozumowano wtedy tak: papież jest daleko, a cesarz — znacznie bliżej. *Ergo*, łatwo sobie wyobrazić, jakie rozprężenie musiało panować w djecezji po dwudziestu latach takiego stanu rzeczy...

Właśnie w takiej chwili, niby nagły, a silny wiatr, wpadł w r. 1883 do wilna biskup Hryniewicki. Bieg dziejów wyznaczył mu odegrać w djecezji wileńskiej znaczną, a ważną rolę, dzięki czemu pierwszy biskup wileński po powstaniu stał się dziś już, po upływie prawie pół wieku, najprawdziwszą postacią historyczną i jako taka rozważany być winien. Nominacja biskupa Karola Hryniewickiego do Wilna odbyła się w warunkach zgola znamiennych. W chwili wysunięcia jego kandydatury, przyszły dostojnik Kościoła był człowiekiem młodym, pełnym energii i zapału, lecz nie liczącym się z nikim i niczem. Tylko ks. Majewski (brat kanonika wileńskiego) jakoby miał pewien wpływ na niego.

Według opinii blizkich znajomych i kolegów nominata Petersburga, w pewnych kołach duchownych wyrażano obawy, co pocznie kandydat wtedy, gdy się znajdzie w wilnie, na stanowisku tak trudnem. Miała swoje zastrzeżenia i Stolica Apostolska, która *trzy razy* odrzucała wysuwaną przez rząd jego kandydaturę i tylko obietnica zgody rządu na jednoczesne obsadzenie biskupstwa w Kielcach przez ks. Kulińskiego, zniewoliła Watykan w drodze ustępstwa, do tej nominacji. „*Czas*” i „*Kraj*” też były nie zadowolone z nominata, jako pochodzącego ze szkoły petersburskiej. Podobno ogromnie zaważył w życiu biskupa Hryniewickiego dzień jego ingresu, gdy wyczajem swych poprzedników, w drodze do katedry wileńskiej, z dworca kolejowego przybył do kaplicy Ostrobramskiej i znalazł się u stóp cudownego obrazu, otoczony wyjątkowo rozentuzjzmowanym tłumem ludu, który, po dwudziestu latach straszego sieroctwa, doczekał się wreszcie znowu swego pasterza. Niezwykle długo zabawił tu nowy biskup wileński, co nie mało zdziwiło i razem zbudowało wiernych. Mówiono potem, że tu właśnie biskup Hryniewicki dał sobie słowo: poledz, albo naprawić zło w djecezji. Energicznie brzmiały przemowa biskupa na ingresie i rychło potem pismo do jen.-gub. Kachanowa.

I rzeczywiście zabrał się on natychmiast do pracy, przyczem wciąż sprawiał wrażenie wichru, który wszystko porusza. Istotnie był też doń podobny ze względu na gwałtowność i krótkość działania, bowiem i sam, jak wichur wkrótce przeleciał. Wejrzał wszędzie: do życia parafjalnego (sam w nocy pojechał na wieś spowiadać chorego, gdy ówczesny proboszcz Wszystkich Świętych odmówił tego swemu

parafjaninowi), do konsystorza (znaleziono tam leżące jeszcze od powstania, a nierozpieczętowane, ważne papiery), do seminarjum (projektował je przenieść do murów po-misjonarskich) i in. \*) Oficjałem konsystorza zaraz został przezacny ks. Harasimowicz. Ne jeden z księży, którzy zesli byli na manowce pod rządami trjumwiratu, zawrócił na drogę powołania kapłańskiego. Tak ks. Pacynko, ongi współpracownik Żylińskiego, udał się do Rzymu i tam u oo. zmartwychwstanców odprawił rekolekcje. Po powrocie do wilna, padł on do nóg biskupowi, otrzymał jego przebaczenie i nie mało cennych wyświadczył mu potem przysług. Właśnie ks. Pacynko uprzedził biskupa Hryniewickiego, że zuchwały prałat Kopcegowicz nosi przy sobie rewolwer, zamierzając w konsystorzu zastrzelić kiedyś spotkanego biskupa. Odważny biskup bywa jednak w ciągu dalszym w konsystorzu i raz spotyka tam Kopcegowicza. Proponuje mu tedy wyjąć rewolwer, a gdy ten zmieszany nie wiedział, co ma robić, biskup obnażył swą pierś i powiedział mu: *strzelaj teraz!* Potem sam sięgnął do kieszeni mściwego prałata i istotnie znalazł tam rewolwer. Smutny był koniec Kopcegowicza, człowieka skądinąd niemałych zdolności: przyjął luteranizm, niezadługo potem umarł i leży na cmentarzu luterskim w Carskim Siolu. Również liczone się z możliwością, że niektórzy wrogowie biskupa w swem zacietrzewieniu gotowi nawet użyć trucizny, by pozbyć się swego przeciwnika. Dla pokrzyżowania podobnych zamiarów, jeśli by one były w stosunku do biskupa, ks. Harasimowicz faktycznie pełnił obowiązki kapelana biskupiego, i nie tylko osłaniał go swą powagą i nabytem latami doświadczeniem, lecz nieodstępnie towarzyszył ordynariuszowi podczas celebracji po różnych kościołach, gdzie do użytku mszalnemu stale mu podawał własne wino. Podobno raz podano gdzieś wino zatrute... Gdy jedni umieli się zdobyć na *maximum* lojalności kapłańskiej względem biskupa, (Żyliński otrzymał pozwolenie odprawiania Mszy św. na Rosie), drudzy bardzo się przeciwstawiali mu. Np. prałat Biedrzyński i inni pozwalali sobie z ambony nazywać biskupa Hryniewickiego *młodzikiem*, któremu oni nie dadzą się kierować. Nic dziwnego, że biskup zdemoralizowane duchowieństwo gromił, karał, usuwał... będąc dlań istotnie *ira Dei* (por. degradację dziekana Małyszewicza w Grodnie). Ze działał przytem gwałtownie, obok gałęzi suchych, czasem i jakaś zdrowa nadwyrężoną trochę została. Zresztą każdy wichur to samo czyni...

Bezwarunkowo rząd, który srodze się omylił co do rzeczywistego charakteru działalności w Wilnie wysuniętego przez się i tak uparcie popieranego kandydata, jakiemu rosyjska gazeta „*Rus'*” udzieliła na początku nawet parę pochwał, miał zasadnicze powody być niezadowolonym z biskupa Hryniewickiego. Najpewniej doprowadziły one w końcu do normalnego już dla Wilna zakończenia urzędowania biskupiego — wygnania. Atoli rozwiązanie takie, rzecz dziwna, przyspieszył sam biskup Hryniewicki. Oto gdy razu pewnego zjawił się w jakiejś sprawie do pałacu biskupiego policmajster wileński Klingenberg, biskup podrażniony jakimś wynikiem nieporozumie-

\*) Już przed powstaniem kierunku wychowania w seminarjum djecezalnem wiele pozostawiał do życzenia. Tolerowano w nim nieraz ludzi mało, lub zgola nieodpowiednich do stanu duchownego. Na ówczesne stosunki wewnętrzne rzucił nieco światła, iż Tupalski trzymany był w seminarjum dla wspaniałego basu, acz wielkiego powołania nie zdradzał. Dlatego to miał o nim jeden z przelożonych wyrzec: *żeby nie ten bas, tobyś świnie past!*

niem, powiedział do niego: *powiedz pan generał — gubernatorowi, że on dureń!* Policmajster odrzekł, iż chyba mylnie posłyszał słowa biskupa, ten jednak powtarza znowu: *powiedz mu, że ja mówię, iż on dureń!* Słowa te powtórzono Kochanowowi. Po pewnym czasie biskup spostrzegł niewłaściwość tego postępk i próbował uzyskać... posłuchanie u obrażonego wielkorządcy kraju, chcąc zatrzeć jakoś wrażenie swych słów. Oczywiście jen-gub. Kochanow nie pozwolił traktować siebie jak smarkacza, któremu raz daje się pstryczka, by po chwili łaskawie pogłaskać po głowie i odmówił audjencji.

Już przedtem biskup Hryniewicki naraził się prawosławnej władzy duchownej w Wilnie przez brak kurtuazji, okazany na sali pałacu jen.-gubernatorskiego podczas przyjęcia noworocznego, kiedy nie uklonił się wcale arcybiskupowi prawosławnemu, chociaż ten powstał na powitanie przechodzącego katolickiego biskupa. — Wcale też nie pomogła mu ekscentryczna próba wyjazdu z Wilna podjęta dla wyśondowania nastrojów miasta. Te i inne ekstrawagancje były najbliższą przyczyną, dla której biskupa Hryniewickiego wezwano w r. 1884 do Petersburga, skąd wysłano go do Jarosławia nad Wołgą. Rząd wypłacał tu biskupowi 2000 rubli pensji rocznej, a gdy po pewnym czasie wygnaniec wyjechał stąd za granicę, otrzymywał rocznie 5000 rubli.

S. p. ks. Konstanty Majewski, dobrze znający biskupa Hryniewickiego jeszcze z czasów petersburskich i świadek jego rządów w Wilnie, gdzie był podówczas rektorem seminarjum djecezjalnego, krótki jego pobyt nad Wilją nazywał *fajerwerkami*, który spalił się efektownie a hucznie, zostawiając po sobie wcale ładne wrażenie, ale też troszeczkę przykrego dymu.

Pomny na duży upadek autorytetu władzy kościelnej w Wilnie, od r. 1890 następca usuniętego pasterza, biskup Antoni Audziewicz (Audzionis), specja nie, acz też nie zawsze szczęśliwie, zabiegał o podniesienie powagi urzędu biskupiego. w tym celu bardzo dbał o swój splendor. Będąc człowiekiem o brzymiego wzrostu, gdy stał w szatach pontyfikalnych na tronie, czynił wrażenie takich papieży, jak Leon Wielki i in.; którzy powagą i majestatem umieli nieraz powstrzymać barbarzyńców, sunących ławą na największe siedliska cywilizacji zachodniej. Biskup Audziewicz sam był w stosunkach bardzo etykietalnym i tegoż skrupulatnie wymagał od kleru i otoczenia, co było nieraz przyczyną, niemiłych zajść, nawet podczas uroczystych obiadów. Pieszono nigdy nie chadzał, lecz jeździł zawsze czwórką rosłych a pięknych koni, gniewając tem niem mało ówczesnego wielkorządcę kraju. Dla duchowieństwa podwładnego był ostrym, co w znacznej mierze trzeba zapisać na konto jego charakteru zóciowego.

Gdy jesienią r. 1894 umarł ces. Aleksander III, rząd domagał się od biskupa nabożeństwa żałobnego. Biskup Audziewicz, już wtedy chory obłożnie, dał *ex lectulo* rozporządzenie odprawienia mszy *sw. in colore albo „o łaski dla rodziny pozostałej“*. Nie rozumiejąc i nie chcąc rozumieć praw kościelnych, rząd tem się nie zadowolił i domagał się dalej swego. Kilkakrotnie do chorego biskupa przyjeżdżał w tej sprawie gubernator, nic jednak nie wskórał.

Z namowy rządu, w tejże misji przybył do biskupa marszałek gubernjalny hr. Adam Piater, lecz nawet nie został przyjęty. Nie trzeba być bardzo przewidującym, by zrozumieć, że zanosilo się w Wilnie znowu na wygnanie biskupa.

Jeśli do tego nie doszło i prochy biskupa Audziewicza spoczęły w grobowcu biskupów wileńskich obok Kłagiewicza, przypisać to należy bodaj jedynie ciężkiej, wciąż postępującej chorobie biskupa, która go niezadługo potem, bo wiosną r. 1895, zabrała z tego świata.

Aż dotąd doprowadziliśmy pamiętnikarskie dzieje najsmutniejszego okresu biskupstwa wileńskiego, bo tak długo pasterze wileńscy wciąż mieli do czynienia z bezpośrednimi skutkami posiewu, dokonanego ręką niecnego trjumwiratu. Biskupi późniejsi, nie stojący jeszcze dla nas w perspektywie historycznej, już tych skutków w djecezji nie zastali, a będący jeszcze tu i ówdzie epigonowie i pogrobowcy trjumwiratu, zdezerjentowani przez życie, które przeszło nad nimi do porządku dziennego, kończyli swój żywot. Ostatni z nich umarł w zapomnieniu w Wilnie podczas wojny wszechświatowej.

Jeszcze słów kilka o źródłach artykułu niniejszego. Nasza notatka historyczna „Trjumwirat“ jest streszczeniem szeregu wykładów o przeszłości Kościoła w djecezji wileńskiej, wygłoszonych u nas przed piętnastu laty dla licznego grona osób przez jednego z miłośników dziejów ojczystych. Wydobyty z zapomnienia poszyt, z poczynionem wówczas notatami, stanowił dziś prawie jedyne źródło naszego artykułu, bo tylko w kilku miejscach korzystaliśmy, głównie dla uzupełnienia i konfrontacji, z dzieła Pelczara *Pius IX i jego wiek* i świadectw współczesnych. Często przytem prowadziliśmy narrację, słowami źródła. Dlatego piszący nie ponosi odpowiedzialności ani za porządek chronologiczny wypadków, ani za sposób, w jaki rozłożono tu światła i cienie. Co do ostatnich, to wszyscy, na których one spoczęły, budzą w nas tylko żywą litość, jako ludzie głęboko nieszczęśliwi. Dla tego samego względu, niejedyn sąd złagodzilimy, nie zamilczając jednak o nikim prawdę, gdy ta jawnie się okazywała na powierzchni wypadków. Niezawodnie znajdą one kiedyś obszerniejsze omówienie i napewno zmienią niejedyn sąd ogółu o rzeczach i osobach.

Erka.

## Z mego notatnika:

### Brak konsekwencji.

Prasa polska bez różnicy kierunków stale używa terminu „Litwa Kowieńska“, „rząd kowieński“, jakby dając do zrozumienia, że istnieje jeszcze inna Litwa i inny rząd litewski.

Było to naturalne i zrozumiałe dopóki istniała Litwa Środkowa i rząd środkowo litewski, ale dziś, gdy się unika starannie najbliższego napomknienia nawet o tem, że Wileńszczyzna stanowiła część W. Ks. Litewskiego, że Wilno przez szereg wieków było stolicą Litwy, gdy się raz po raz deklamuje na temat połączenia „odwiecznie polskiej ziemi Wileńskiej ze swą macierzą“, gdy się o czasach Litwy Środkowej wspomina niechętnie a nawet z odrazą, jakież sens jest w dodawaniu do Litwy przymiotnika „kowieńska?“ Czyżby wbrew wszelkim chęciom i intencjom sumienia nie pozwalało zapomnieć o istnieniu Litwy Wileńskiej?



### Nieśmiertelne tradycje.

Szowinizm w społeczeństwie polskim, zamiast się zmniejszać, czyni zastraszające postępy. Kogoś oburzyło, że subjekt w sklepie nie zna języka polskiego i uważał za potrzebne poskarżyć się o to w prasie, innego razi, że programy są drukowane również w języku rosyjskim, ostatnio zaś sprawozdawca muzyczny „Gazety Krajowej” narzeka, że dyrygent orkiestry symfonicznej w ogrodzie Bernardyńskim nazywa się Bierdiajew a nie Bierdziajewicz lub Bierdziański i ma mu za złe, że... na pierwszy występ wybrał czwartą symfonię Czajkowskiego „najbardziej narodowo-rosyjską” z całej twórczości kompozytora... *Tout comme chez nous* powiedział by z zadowoleniem, gdyby wstał z grobu, ów gubernator rosyjski, który postawił za warunek ś. p. Montwillowi, udzielając mu pozwolenia na urządzenie koncertów w Sali Klubu Poleskiego, aby programy nie były przeladowane specjalnie polskimi utworami...

Ale to był urzędnik carski z czasów przedrewolucyjnych, a dziś go naśladuje współpracownik piśma, mianującego się demokratycznym! Wówczas śmieliśmy się z takiej zapobiegliwości gorliwego rusyfikatora... Dziś? Chyba płakać pozostaje.

### Niesłuszne oburzenie.

Z powodu zawieszenia przez prokuraturę wszystkich pism litewskich „Unser Tog” zamieścił ostry artykuł, który dał asumpt „Gazecie Krajowej” do udzielenia dziennikowi żydowskiemu surowej admonicji za „fałszywe informowanie swych czytelników” i za „obrażanie uczuć polskich przez pomawianie władz i całego społeczeństwa o nieprawne i „terorystyczne” działania oraz o jakieś zoologiczne instynkty w stosunku do miejscowych Litwinów”.

Byłoby o wiele lepiej gdyby „polskie uczucie” autora powyższej wzmianki zareagowało nie na artykuł „Unser Togu”, lecz na represje władz i na objawy skrajnej nietolerancji względem miejscowego społeczeństwa litewskiego, można jednak się zgodzić z nim, że rozprawa sądowa wykaże, czy postępowanie prokuratury było słuszne czy nie. Gdybyż to wszakże zawieszenie pism było odosobnionym wypadkiem represji względem miejscowych Litwinów! Ale rewizje w Poliklinice Litewskiej i w niektórych mieszkaniach prywatnych z wyłamaniami drzwi, serja nowych deportacji, osadzenie na Łukiszkach podsądnych redaktorów (czego nie stosowały nigdy nawet władze rosyjskie), odmawianie koncesyj na nowe pisma i cały szereg tym podobnych szykan, czyż nie są dowodem planowej akcji skierowanej przeciwko pozostałej w Wilnie garstce inteligencji litewskiej, akcji, mającej na celu uniemożliwienie jej wszelkiej już nie tylko politycznej, ale nawet kulturalnej działalności?!

Czyż więc tak dalekim od prawdy jest „Unser Tog” gdy nazywa takie postępowanie polityką teroru?

### Zajmująca lektura.

Sejm Wileński należy już do historii i historyk kiedyś będzie miał wdzięczny temat do zajmującej monografii. Dobrze też zrobiła księgarnia J. Zawadzkiego, wydając w druku stenograficzne sprawozdanie z przebiegu posiedzeń plenarnych i przekazując potomności ten cenny nowoczesny „dyarjusz sejmowy”.

Istna to kopalnia materiału nie tylko dla historyka, ale przedewszystkiem feljetonisty i satyryka. Jedno przemówienie ks. Maciejewicza czego wartel Zdziwiający jest ten tupet, z jakim ks. poseł wygłasza swe wywody „naukowe”, historyczne, statystyczne i etnograficzne. Albo mowa p. Szadurskiego, potępiająca „altruizm” w polityce z powodu wyłączenia majątków polskich w Łotwie! Albo wyznanie p. Rożnowskiego, który wytyka rozmaitym działaczom pseudo-białoruskim, a właściwie rosyjskim, że popierają ruch białoruski jedynie z pobudek, aby tu nie była Polska, a sam jednocześnie stwierdza, że w r. 1905 rozpowszechniał książki białoruskie, powodowany wyłącznie pragnieniem, aby tu nie była Rosja!

Najciekawszymi wszakże są odezwania się posłów włościańskich, powtarzających wyuczone frazesy z katechizmu endeckiego, ale nie mogących się zorientować dostatecznie w zawitym problemacie stosunków polsko-litewskich.

Oto np. p. Dzierkacz stwierdziwszy uroczyście, że „od wieków tu istniało życie polskie i wszystko tu oddycha duchem polskim i wszystko nawskroś jest polskie”, — bezpośrednio po tem konkluduje nieoczekiwanie, że „wszystko, co mamy i co uważamy za dobre i pożyteczne, wszystko to dał nam i uczynił sąsiedni bratni nasz naród polski”...

Najwyraźniej poczciwy kmiotek tutejszy, mimo całego przejęcia się ideologią i frazeologią wszechpolską, uważa instynktowo Polaków za naród odrębny — sąsiedni i bratni, ale bynajmniej nie identyczny z tą ludnością, do której sam należy i którą reprezentuje w Sejmie. Niezwykle zajmującą lekturę stanowi ten gruby tom, z pozoru wyglądający tak sucho i oficjalnie.

Licz.

## Polityka zagraniczna Belgji.

Belgia, jak już to niejednokrotnie podkreślaliśmy, jest państwem, z którym ze względu na swój skład narodowościowy i położenie geograficzno-polityczne Litwa posiada najwięcej analogji. Zwłaszcza stosunek Francuzów belgijskich do Francji powinien być pouczającym przykładem dla Polaków litewskich.

Korespondent „Gazety Warszawskiej” z Antwerpji podaje ciekawe szczegóły o zasadniczej dyskusji nad polityką zagraniczną Belgji, która toczyła się ostatnio w parlamencie brukselskim.

Wielu mówców rozwodziło się szeroko nad sprawą politycznego sojuszu między Francją a Belgją. Wyplęły tu zasadnicze różnice zdań, nie brakło też i formalnych na Francję ataków. Opozycja rozwinęła swój program zagraniczny bez wszelkich niedomówień. Wyrzucenia flamingantów i niektórych ideologów socjalistycznych były pod tym względem szczególnie wyjątkowe.

Pierwszy to raz neo-aktywizm belgijski rzucił społeczeństwu wyzwanie z wysokiej trybuny parlamentu. Flaminganci otrzymali także poparcie ze strony prawicy katolickiej, która najwyraźniej tęskni za minioną neutralnością i pragnie, by Belgja nie angażowała się w wielkich sporach na terenie międzynarodowym. Jeden z szefów partji katolickiej, b. minister Poulet wygłosił w tym duchu wielką mowę, przeciwstawiając się energicznie sojuszowi belgijsko-francuskiemu. Radykalni flaminganci, których rzecznikiem w izbie był poseł Van Severen, wystąpili do p. Jaspara z pretensjami za antyniemiecki kurs jego polityki.

Według nich belgijski minister spraw zagranicznych opętany jest „poincareizmem”, rozdwarzającym Europę! Zdaniem tych panów odpowiedzialność za traktat w Rapallo spada oczywiście na aliantów — sojusz niemiecko-rosyjski nie stanowi zaś bynajmniej przeszkody do odbudowy Europy. P. Van Severen domagał się więc zerwania z polityką sankcji wobec Niemiec, anulowania konwencji wojskowej belgijsko-francuskiej i wycofania wojsk belgijskich z Nadrenji. Nienawiść do Niemiec nazwał on karygodną niedorzecznością i stwierdził, że jego przyjaciele polityczni dążą do utworzenia konfederacji belgijskiej, złożonej z Flandrii i Walonii, konfederacji, któraby się mogła stać pośrednikiem między Niemcami a Francją.

Chociaż tego rodzaju mowa miała li tylko akademickie znaczenie, bo p. p. Van Seyeren i tow. nie posiadają poważniejszych wpływów ani w kraju, ani w izbie, to jednakże była ona znaczącym symptomem politycznym: aktywizm flamandzki widocznie żyje, a nawet nabiera pewnego rozmachu.

Większość oczywiście parlamentu wypowiedziała się za konwencją wojskową z Francją, natomiast liczba zwolenników politycznego przymierza z Francją — jak stwierdza tenże korespondent — jest znacznie szczuplejszą. Można się było o tem przekonać

nie tylko z przebiegu dyskusji parlamentarnej, ale również z głosów prasy.

W liberalnym i wpływowym „Neptunie” antwerskim poseł Straus pisze o stosunkach francusko-belgijskich w tym samym duchu, co „La libre Belgique” organ katolicki. Poczytny brukselski „Soleil” uzupełnia te bądź co bądź nieprzychylnie dla Francji opinie artykułem p. P. Tschoffeu, katolickiego deputowanego w Liege, miasta o tradycjach wybitnie frankofilskich.

Posłuchajmy jego wywodów i argumentacji: „Zgodna na aljans z jednym ze swych sąsiadów byłaby ciężkim błędem. Nasza polityka zagraniczna starała się od chwili zawieszenia broni utrzymać i utrwalić blok Ententy. P. Jaspas działał w tym kierunku z podziwu godną energią, czem zdobył sobie poklask całego narodu. Sojusz polityczny z jednym tylko sąsiadem naszym byłby zaprzeczeniem tych dążeń. Wszakże zrobiliśmy to zaszczytne doświadczenie, że w ciężkich dla Ententy chwilach rola Belgji była zawsze dodatnia. Jeżeli Belgja służyć mogła całej Entencie — zawdzięczała to przedewszystkiem tej okoliczności, że nie oddała się nikomu Belgja tracąc dotychczasową niezależność ruchów wyrażałaby krzywdę nie tylko Entencie, lecz własnym swym interesom. Belgja winna być li tylko sobą P. Poulet i p. Destrée (socj waloński), dwaj politycy o zupełnie odmiennych aspiracjach, podkreślili to w parlamencie z całą stanowczością.

**Treść numeru:** Barjera czy most? — *Ad. Sołoduch.* U kolebki mesjanizmu białoruskiego. — *Wad.* Ludność ukraińska w Grodzieńszczyźnie. — Obrazek mniejszości narodowych. — *Erka.* Trjumwirat. — *Licz.* Z mego notatnika. — Polityka zagraniczna Belgji. **Odcinek.** — *J. B-nas.* Smutna opowieść.

# ANTYKWARJAT NAUKOWY

przy Księgarni Stowarz. Nauczycielstwa Polskiego (dawn. „Kultura”)

UL. WILEŃSKA 36

**Kupuje i sprzedaje  
książki, rękopisy, ryciny.**